

Kobieta kobiecie głonojadem

25 listopada 2024

„Od dwóch lat jeżdżę z taką jedną dziewczyną autobusem. Była śliczna, taka młoda, świeża dwudziestka. I jakiś rok temu zaczęła mocno kombinować z twarzą. Te rzęsy doczepiane, potem lekkie powiększenie ust. Nie widziałam jej jakiś czas i wczoraj zobaczyłam po raz pierwszy od 2-3 miesięcy. Ledwo ją poznałam, bo z włosów brązowych przefarbowwała się na jasny blond, zrobiła doczepy, usta już napompowane strasznie, rzęsy do brwi, no wiecie. Z ładnej dziewczyny stała się... Ech. Czy to jest w ogóle odwracalne?” – pyta jedna z forumowiczek Gazeta.pl.



Tytuł jest oczywistą wariacją „Człowiek człowiekowi wilkiem”. Starożytne sformułowanie, spopularyzowane przez Thomasa Hobbesa w czasach nowożytnych, wyrażało pogląd, że w stanie natury ludzie są egoistyczni, a wszyscy walczą przeciwko wszystkim. Każdy każdemu wrogiem.

Nie żyjemy już w stanie natury, lecz kultury, a i samą figurę człowieka należy rozumieć precyzyjniej, tj. jako męczyznę oraz kobietę.

Ten tekst jest o kobietach w dzisiejszej zmediatyzowanej

kulturze oraz o ich wzajemnym postrzeganiu siebie. O swoistej walce, jaką prowadzą nie tylko ze sobą, ale przede wszystkim z innymi kobietami, w której stawką jest status i piękno.

(Nie) akceptuj siebie

Jestem młodą kobietą i jak wiele moich rówieśniczek, traktuję media społecznościowe, a przede wszystkim Instagram, jako integralną część swojego życia. Dzięki tej platformie dowiemy się od influencerek, jak dobrze wyglądać, zdrowo jeść i gdzie podróżować. Popularne guru podpowiadają nam kim być i jakim być, aby nas akceptowano. Wszystko po to, żeby stać się obiektami pożądania dla mężczyzn, dla zazdroszczących nam kobiet i w końcu, gdy już osiągniemy ideał, żebyśmy mogły być sobą, a właściwie najlepszą wersją siebie.

W mediach społecznościowych oglądamy pozowane zdjęcia i upozorowane życia. Żyjemy zatem w świecie cyfrowego społeczeństwa spektaklu. Badania wskazują na to, że kobiety są świadome działań Photoshopa oraz instagramowych filtrów wygładzających twarz. Wiedzą, że pokazywane im obrazy nie są rzeczywiste (wyraźnie to deklarują), co nie zmienia faktu, iż rzeczywiście przekładają się one na nieustanne porównywanie się do innych i popadanie w różnego rodzaju kompleksy. Wynika to z faktu, że kobiety nie mogą sprostać stawianym przed nimi wymaganiom i oczekiwaniom, które są po prostu nieosiągalne, gdyż nie mają odpowiednika w rzeczywistości.

Nic w tym dziwnego, albowiem owe wymagania i oczekiwania są nie tylko nieosiągalne, ale wręcz sprzeczne, co w konsekwencji prowadzi do dysonansu poznawczego (jaka mam w końcu być?) oraz próby znalezienia odpowiedzi w Internecie, który ten dysonans współtworzy. To zaklęty krąg, w którym lekarstwo jest trucizną.

Cynthia Nixon w nagraniu „Be a lady they said” trafnie oddaje ten komunikacyjny stan rzeczy. W swoim krótkim filmie, który stał się bardzo popularny w Internecie, przytacza słowa poetki

Camillie Rainville dotyczące sprzecznych komunikatów i oczekiwań wobec kobiet. Jest to swoisty manifest składający się z nakazów i zakazów, które kobiety słyszą pod swoim adresem od partnerów, mężów, ojców, matek, sióstr, braci, przyjaciół i samych siebie. Zestawione w jednej sekwencji ujawniają absurd, albowiem wzajemnie się wykluczają, ukazując tym samym sparaliżowanie kobiecej sprawczości względem swojej tożsamości i cielesności. Jeśli wiesz, jaki model kobiecości jest ci podpowiadany, to przynajmniej możesz powiedzieć, że go nie chcesz. W tym przypadku nie możesz powiedzieć nawet „nie”, bo nie wiadomo czego miałyby dotyczyć to „nie”.

„Bądź damą, powiedzieli. Nie bądź zbyt gruba. Nie bądź zbyt chuda. Nie bądź zbyt duża. Nie bądź zbyt mała. Jedz więcej. Schudnij. Przestań tyle jeść. Nie jedz za szybko. Zamów sałatkę. Nie jedz węglowodanów. Zrezygnuj z deserów. Musisz zrzucić kilka kilogramów. Idź na dietę. Uważaj, co jesz. [...] Zjedz burgera. Mężczyźni lubią kobiece krągłości. Bądź mała. Bądź drobna. Bądź grzeczna. Bądź kobieca. Noś rozmiar zero. Noś podwójne zero. Bądź niczym. Bądź mniej niż niczym”.

Komunikat nie może mówić jednocześnie tego i tamtego, musi jasno mówić to i to. W przeciwnym razie ryzykujemy jego niezrozumieniem lub odsłonięciem sprzeczności, co skutkuje, iż nie wiadomo jakie działania podjąć, np. względem swojego ciała. To tak, jakby na randce powiedzieć: „Pocałuj mnie, ale nie całuj mnie”.

Moim zdaniem zagubienie sporej części młodych kobiet względem własnej tożsamości wynika m.in. z braku fundamentalnego wsparcia ze strony kultury w postaci przejrzystych komunikatów czy pomocy w wypracowaniu jasnej hierarchii wartości, która będzie porządkowała odbiór tych komunikatów. Brak przejrzystości względem tego, co wolno, a czego nie, jak wyglądać dobrze, a co ośmiesza, sprawia, że kobieta nie wie, jak się zachować, jak wyglądać, co jeść i co myśleć. Skutkuje to jej biernością, wyrwaniem gruntu spod nóg. Koniec końców, nierzadko w tym chaosie wybiera jakąś „wersję siebie”, którą

„chce” być, bo trudno jest funkcjonować w stanie ciągłej niepewności.

Problem w tym, że jakiej „wersji siebie” by nie wybrała, to i tak narazi się na krytykę ze strony jakiejś części społeczeństwa, która uzna, że nie jest taka, jak być powinna. I nie ma od tego ucieczki: jesteśmy skazane na ocenę oraz krytykę, bo jeśli nie wiadomo, jakie mamy być, to zawsze nie takie, jakie być powinnyśmy.

Można by dać tutaj prostą radę i my, kobiety, często ją słyszymy: „Nie przejmuj się zdaniem innych”. Nie da się łatwo powiedzieć: jestem sobą i nie obchodzi mnie wasze zdanie. To, jak o sobie myślimy, jest w dużej mierze wynikiem tego, jak myślą o nas inni, a cały przemysł szczęścia i ciałopozytywności usiłuje nas przekonać, że jesteśmy paniami własnych emocji. Nie każda z nas ma grubą skórę, żeby naprawdę nie przejmować się zdaniem innych, nie mówiąc już o tym, że prowadzi to do życia wśród ludzi jak na bezludnej wyspie, gdyż mój świat sprowadza się tylko do mnie samej. To niestety kierunek, w jakim część z nas podąża, jeśli nie wybierze – czy raczej zostanie zmuszona do – pewnego podporządkowania się różnym trendom.

Można by także powiedzieć, że przecież te komunikaty są sprzeczne tylko wtedy, gdy zbierze się je w całość, postawi obok siebie, a w rzeczywistości działają w odmiennych przestrzeniach. My, kobiety, świetnie potrafimy się w tym odnaleźć. Wiem, gdzie muszę być miła i grzeczna, a gdzie nie muszę się kontrolować. Ale z ciałem nie jest już tak prosto, nie zmieniamy go przecież tego samego dnia. Wygląd podlega ocenie – w jednej przestrzeni może być pożądanym, a w innej wyśmiewany.

Piękno a klasa

Czy istnieje zatem jeden obowiązujący, kobiecy kanon piękna, do którego powinnyśmy lub możemy dążyć?

Kanon piękna stale ewoluuje. W latach 1990. wyznaczała go Kate Moss, supermodelka o porcelanowej cerze i bardzo szczupłej sylwetce. Ale na scenie muzycznej pojawiła się Beyonce ze swoimi seksownymi kształtami. Powstał podział między zwolennikami chudych modelek a tymi, którzy wolą krągłości. Po Beyonce, w latach dwutysięcznych, pałeczkę przejęła Kim Kardashian, która swoimi nienaturalnymi wymiarami namówiła wiele dziewczyn na zabieg tzw. brazylijskich pośladków. Polega on na transferowaniu tłuszczu z okolic brzucha i wstrzyknięciu go do pośladków. Zabieg ten zaliczany jest do najniebezpieczniejszych w historii medycyny estetycznej. Z drugiej strony niejedna dziewczyna dążąca do szczupłej sylwetki przypłaciła to anoreksją, a nawet życiem. To pokazuje, jaką cenę kobiety są w stanie zapłacić za idealny, w ich mniemaniu, wygląd.

Obecnie ukształtował się polski kanon Barbie. W salonach medycyny estetycznej możemy spotkać się z zabiegami „Barbie touch up”. Polega on na serii zabiegów, które wyszczuplają nos, powiększają usta i wysmuklają kości policzkowe. Barbie ma nie tylko piękną buzię, ale całą figurę. Jej duże piersi, a zarazem wąska talia i długie nogi („do nieba”) w rzeczywistości nie mają prawa istnieć. Przekładając jej wymiary na realność, przy wzroście 175 centymetrów musiałaby mierzyć 84-46-80 cm, z czego połowę stanowiłyby jej zgrabne nogi.

Ponadto na Instagramie popularne są nie tylko influencerki, które wiernie odzwierciedlają dany kanon piękna, ale również filtry choć trochę imitujące porcelanową cerę, baby face, duże oczy i wydatne usta. Dziewczyny coraz częściej przychodzą ze zdjęciem zawierającym filtr i chcą, aby lekarze medycyny estetycznej przeprowadzili zabiegi, które umożliwią ten nienaturalny wygląd. Kanon influencererek, które zdobywają pierwsze pozycje w viralach i podbijają serca milionów użytkowników, jest zbliżony do Barbie. Napompowane usta, pełny makijaż, szczupły nos i świetne ciało to dzisiaj

gwarant sukcesu w Internecie. Dziewczyny chcąc spróbować znaleźć swoje „ja”, ślepo naśladują wyznaczone trendy.

„Szara mysz w tłumie porobionych nic nie osiągnie. Filtry to jedno, po operacjach i tak się ich używa. Przecież nikt nie budzi się w pełnym makijażu, a storki nagrywa się od razu po przebudzeniu. [...] Zobacz storkę tej dziewczyny: 8 rano, a ona już pracuje. Zarabia wyglądem. W uszach kolczyki takiej firmy. Jedzenie z tego cateringu, setki dziewczyn piszą do niej, skąd ma tę narzutę, kubek, klapki, co to za lakier i gdzie robiła paznokcie” – mówi Justyna z Warszawy w wywiadzie w książce „Poprawione”. Jest szczupła, ale jedzie do Turcji na wakacje na zabieg BTL. „Duży tyłek trzeba mieć” – dodaje.

Analizując wszystkie występujące w kulturze kanony piękna można zauważyć, że różnią się od siebie diametralnie. W stopniu, w jakim kobiety potrafią różnić się od siebie. Jeśli przyjrzymy się innym czynnikom, takim jak geny, rasa, pochodzenie społeczne, kapitał symboliczny, to okaże się, że więcej czynników dzieli kobiety niż je łączy.

Kobiece ciało, jego wygląd i piękno, są także wartościowane z punktu widzenia klasowego. Ciało jest tekstem, który czytamy klasowo. Wystarczy pooglądać programy typu „Damy i wieśniaczki”, „Chcę być piękna” czy „Projekt Lady”, żeby zobaczyć, że określony wygląd jest znakiem przynależności klasowej.

Pytanie jednak brzmi: jaki wygląd wybrać?

Jeszcze do niedawna zabiegi medycyny estetycznej zarezerwowane były dla kobiet z większym kapitałem ekonomicznym, bowiem żeby je wykonać, trzeba było dużo zapłacić. Cena jest wysoka, gdyż „poprawiony” wygląd gwarantujący młodość i piękno, jest w zasadzie nieosiągalny bez pomocy skalpela. Te, których nie było na to stać, musiały albo „akceptować siebie”, albo

inwestować w inne kapitały, np. intelekt (nie jestem piękna, to przynajmniej będę mądra). Obecnie względna dostępność finansowa operacji plastycznych i chirurgii estetycznej spowodowała, że coraz większa grupa kobiet ma do niej dostęp. Wystarczy uzbierać na operację czy zabieg bądź podjąć współpracę influencerską z daną kliniką. Zabiegów tych podejmują się nie tylko lekarze, ale również kosmetyczki po ukończonych studiach w zakresie kosmetologii bądź (o zgrozo) po samych kursach. Wspaniale, jest nadzieja! Będziemy wszystkie takie jak nasza ulubiona lalka z dzieciństwa, nie będzie już różnic, koniec wyścigu, już widać metę.

Chyba że ktoś niekompetentny nas oszpeci.

Obecnie na rynku istnieje bardzo duża konkurencja w zakresie wykonywania zabiegów estetycznych. Przerywanie ciągłości skóry przestało być zarezerwowane tylko dla lekarzy po siedmioletnich studiach medycznych. Teraz wstrzyknąć kwas może nawet sąsiadka z naprzeciwka, która obejrzała tutorial na YouTube pt. „Jak powiększyć usta” i zamówiła kwas hialuronowy do paczkomatu. Coraz bardziej widać tego efekty. Niestety, ale dziewczyny, które nie mają wystarczających środków na zabiegi, a bardzo chcą z nich skorzystać, oddają się w ręce przypadkowych „kosmetyczek”. W konsekwencji prowadzi to do wielu powikłań pozabiegowych, nie mówiąc już o najważniejszym mankamencie – utracie urody i naturalności. Rozbieżność międzyklasowa jeszcze bardziej się powiększa, ponieważ kobiety, które stać na profesjonalny zabieg u chirurga plastycznego nie oszpecą się tak, jak te, które nie mają wystarczających pieniędzy, a też chcą być młode i piękne, bo czują presję, żeby takimi być.

Kłopot także w tym, że osiągnięcie ideału w odczuciu kobiety, nawet jeśli się powiedzie, nadal nie przestaje narażać na negatywną ocenę. Te „poprawione” dziewczyny są często krytykowane przez część kobiet wykształconych, z dużych miast, nierzadko inteligentek i feministek. Krytyczki widzą w tym przejaw uległości „męskiemu oku”, dostosowanie się do kanonów

piękna, kapitulację przez opresję mitu piękna etc. „To nie ciało ma być moim kapitałem, a na pewno nie jest nim wygląd” – twierdzą. Mówiąc wprost, dziewczyna z domu inteligenckiego nie będzie widziała celu w poprawieniu ust botoksem czy zrobieniu większych piersi. Jej głównym atutem będą wiedza, dobre wychowanie, obycie w kulturze, co owocuje naturalnym wyglądem i brakiem przeglądania się w lustrze po kilka razy w ciągu dnia. To dlatego, że ma wysoką samoocenę i nie potrzebuje się dowartościować swoim ciałem. Świat jej podobnych będzie kanon naturalnego zadbania uważał za odpowiedni.

Problem dziewczyn poddających się bez opamiętania zabiegom estetycznym polega na tym właśnie, że czują niedosyt swojej wartości, która nie rośnie proporcjonalnie wraz ze zmianą ich statusu materialnego. Nie są w stanie zaakceptować samej siebie, patrząc tylko przez pryzmat lustra. Niedobór ten, wynikający często z innych wzorców, doprowadza je do chorobliwej poprawy wyglądu, bo to ciało staje się ich wizytówką, a nie zaniedbany intelekt czy charakter.

Dla niektórych kobiet kusa sukienka, pełne usta wspomagane botoksem i duży kształtny biust są wyznacznikiem dobrobytu. Niezaprzeczalnie te elementy stanowią wabik na mężczyzn, jednak przedstawicielki innych grup podchodzą do tego bardzo krytycznie. Nie próbują zrozumieć drugiej strony, lecz z góry ją negatywnie oceniają. Kobietę, która za wszelką cenę chce zmienić swoją naturalną urodę, w efekcie czego ma nienaturalnej wielkości usta, nazywają „glonojadem”. Poprzez tę krytykę rodzi się jeszcze większy dystans i różnica między przedstawicielkami płci – właśnie – pięknej.

Stygmatyzowanie pewnej grupy kobiet poddających się operacjom plastycznym, które są raczej ofiarami, zarówno kultury, jak i samych zabiegów, jest w gruncie rzeczy elementem walki o uznanie, o bycie tą lepszą, naturalną, na tle „zrobionej” masy. Albo „zrobioną” tak, że „wygląda naturalnie”.

Swego czasu modne stało się pojęcie siostrzeństwa, które

wywodzi się z nurtu feministycznego. Feministki zaczęły go używać jako przystępnego zamiennika, gdyż feminizm nie tylko stał się dla wielu, w tym kobiet, określeniem pejoratywnym, ale starał się zatrzeć różnice klasowe pomiędzy kobietami, które ewidentnie przecież istnieją (dlatego mamy różne odmiany feminizmu: od liberalnego po socjalny). Tak jak istnieją różnice w wyglądzie. Zamiast je pogłębiać ciągłą krytyką i ocenianiem, warto byłoby wykazać się większą wyrozumiałością. Jeśli każda z nas ma prawo być sobą, to dlaczego krytykować określony wybór? Czy nie dlatego właśnie, że nie jest zgodny z określonym postrzeganiem wyglądu? Za bardzo seksownym? Zaraz taka dziewczyna zostanie sklasyfikowana jako podlegająca dyktaturze patriarchatu, a jeśli powie, że naprawdę chce tak wyglądać, to usłyszy, że została ujarzmiona przez przemoc symboliczną narzuconą przez mężczyzn.

Wyobraźmy sobie dziewczynę, która w bardzo młodym wieku, chcąc być „lepszą wersją siebie”, jaką zobaczyła na Instagramie, powiększyła usta do nienaturalnych kształtów i trafia do środowiska inteligentów, np. środowiska akademickiego. Szybko zrozumie, że to, co było piękne tam, tutaj raczej naraża na śmieszność. Będąc młodą dziewczyną nie zastanawiała się przecież nad tym kanonem piękna jako konstruowanym społecznie, bo ta refleksja przychodzi później, tj. wtedy, gdy osiągamy jakiś dystans do wzorów i kanonów kulturowych, w których zostaliśmy zsocjalizowani. Przewisko „Głonojad” mówi więcej o tej, która go używa, niż tej, która jest określana tym mianem. To w zasadzie nic innego, jak wtórna wiktymizacja.

Kułt(ura) wiecznego niezadowolenia

Chyba rzadko się zdarza, żebyśmy szczerze mogły być z siebie zadowolone. Jedynie sporadycznie satysfakcjonuje nas własne odbicie w lustrze, wyniki w pracy, to, kim jesteśmy i z kim jesteśmy. Ciągła samoanaliza i skupianie się na niedoskonałościach, rywalizacja pomiędzy nami, kobietami i wyścig ku mecie bycia idealną to wynik tego, że nie jesteśmy w

stanie zaakceptować aktualnego stanu rzeczy, ciągle szukając czegoś „więcej”. Z jednej strony z językiem na brodzie gonimy ideał, który zawsze jest nie do osiągnięcia, a z drugiej, jeśli już ktoś sprawiedliwie, na podstawie miarodajnych kryteriów, a nie własnego „czucia”, docenia to, czego się nauczył czy osiągnął, zostaje nazywany narcyzem i uruchamia się wobec niego narrację terapeutyczną.

Tak źle i tak niedobrze. I na tym to polega!

Ćwiczysz? Jesteś skupiona na ciele, bo na pewno jesteś głupia.

Nie ćwiczysz? Jesteś leniwa.

Tak można w nieskończoność.

Na tym stanie niedookreślenia, multiplikując sprzeczności, bazują wszystkie marki światowych producentów. Łapią nas w sidła swoich reklam i sugerują, że spełni się obietnica końca. Ale wiadomo, że jeden krem nie uczyni nas całkowicie szczęśliwym, bo do zestawu bycia pięknym potrzebne jest jeszcze serum na zmarszczki, maska wygładzająca na noc i cała seria kosmetyków. Kupujemy w zestawach, kupujemy w promocjach, kupujemy dla siebie, mamy, przyjaciółki. Już nie wiemy, co kupujemy. Nie jesteśmy w stanie się zatrzymać wśród maszyny konsumpcjonizmu i kochamy posiadać więcej, mając nadzieję, że tym razem to wystarczy do bycia całkowicie szczęśliwym.

Kultura wiecznego niezadowolenia polega na tym, że nie jesteśmy w stanie w pełni siebie zaakceptować. Nieważne, ile ćwiczeń na siłowni wykonam, jak bardzo będę trzymać dietę, na koniec dnia liczy się to, że dwa dni temu byłam w McDonaldzie. Ważnym jest, że miałam pójść wcześniej spać o wodzie, a siedziałam do trzeciej w nocy przy chipsach i piwie. Pokazałam słabość, łamiąc własne postanowienia. Cały czas ustawiana wysoko poprzeczka dotycząca zdrowego i idealnego życia sprawia, że same jesteśmy dla siebie największymi katami – mówimy o życiu tak, jakbyśmy były sportsmenkami i maszynami do osiągnięcia rezultatów. Chodzimy wiecznie sfrustrowane i

niezadowolone, bo do marca miałam zrzucić pięć kilogramów, a gdy się udało, to nagle się okazuje, że mam za mały biust. A jak poprawię biust, to zaraz powiedzą, że jestem sztuczną lalą. I tak w kółko, bez ustanku. Już nawet konsumpcja nie daje obietnicy szczęścia i akceptacji samej siebie.

I na koniec, powiedzmy szczerze: robimy to w dużej mierze same sobie. Tutaj nie chodzi wcale o mężczyzn, ale o nas: kobiety. Zdanie mężczyzn przestało się aż tak bardzo liczyć, nie mówiąc już o tym, że oni nie widzą większości naszych niedoskonałości, które zauważamy my. To właśnie kobiety są najbardziej krytyczne wobec siebie i wobec innych kobiet. To my same po części podtrzymujemy ten system opresji piękna i oceny. Wynika to nie tylko z zazdrości o pozycję „tej lepszej”, ale z faktu pełnienia dla samej siebie roli bezkompromisowego trenera, dla którego nie ma miejsca na porażki czy nieudany zabieg plastyczny. Nie akceptujemy wad, słabości i błędów. W tej niechlubnej rywalizacji części z nas udało się prześcignąć nawet mężczyzn.

A co by było, gdyby dało się zbudować pomost, być bardziej wyrozumiałą dla siebie i ostatecznie innych? Zapewne stanowiłoby to spory wysiłek w realizacji, bo wszystkie ulegamy dyktaturze oceny i łatwości jej wydawania. Prowadzimy walkę poprzez brak akceptacji „innego”, niedoskonałego inaczej lub właściwie równie doskonałego jak tylko doskonałe może być – z sobą.

Autorstwo: Milena Suchy

Źródło: Nowybywatel.pl